Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 29 Warzawa, Niedziela, 9 sierpnia 1936 r. Rok I

SUTANNA CZY RUBASZKA?

Polska w cęgach czerwono—czarnych międzynarodówek

Od pewnego czasu krążą wersje, że jeden z radykalnych publicystów ma zamiar obdarzyć kraj nasz nowym dziennikiem, które ma rzekomo

hołdować idei... bezbożnictwa.

Samo powstanie, jeszcze jednego czasopisma w okresie niezwykłej na tym odcinku inflacji

nie byłoby aż tak ważnym ewenementem

w naszem życiu, żeby niem absorbować opinję publiczną, gdyby nie zamierzone „długoszowe" tendencje.

Tym właśnie tendencjom, wspomniany publicysta zawdzięcza, że zajmiemy się nietyle jego osobą ile samą koncepcją, jej znaczeniem

z punktu widzenia interesów Państwa.

Zanim jednakże przystąpimy do rozważenia samego zagadnienia, na wstępie, gwoli uniknięcia zarzutu bigoterji, od której jesteśmy bardzo dalecy, pragniemy przypomnieć nasze stanowisko, jakie zajęliśmy

w stosunku do Rzymu w numerach 15 i 17 „Wiem Wszystko".

RĘCE POSSEVINA

Doceniamy należycie te wszystkie szkody i nieszczęścia, jakie na Polskę spadły z racji Jej

zbytniego podporządkowania się

interesom Rzymu, z reguły prawie sprzecznym z zasadniczemi interesami Polski.

Choćby tylko działalność dyplomatyczna jezuity Possevina za czasów Stefana Batorego i jego pośrednictwo między Polską i Rosją jest bardzo

charakterystycznym i pouczającym przykładem.

Z faktu, że w Polsce przedrozbiorowej bardzo często Rzym lub jego wysłannicy sprawowali

faktyczną władzę polityczną,

ukrywając sam fakt skrzętnie przed polską opinją publiczną, należy wyciągnąć właściwe wnioski i z tej nauki przykrej, a bolesnej, skwapliwie trzeba skorzystać, iżby Polskę teraźniejszą i przyszłą ochronić

od podobnych katastrof i wstrząsów.

NASZA RACJA STANU

Albowiem polską racją stanu jest całkowita niezależność od jakiegokolwiek czynnika zewnętrznego,

od jakiejkolwiek międzynarodówki bez względu na to, jakim zasadom i jakiej idei ta międzynarodówka hołduje i na jaki kolor jest pomalowana.

A wszak Rzym, jest nietylko organizacją kościelno-religijną, ale również organizacją polityczną, wykazującą na tym odcinku duże ambicje wpływania na stosunki i losy poszczególnych państw.

FATALNY PRZYKŁAD

Polska swoje losy już raz oddała w ręce Rzymu i z tej imprezy wyszła pogruchotana. Trzeba było wielkiego i krwawego wysiłku całych pokoleń, aby

po strasznem i tragicznem odpokutowaniu

naszej lekkomyślności, zacząć na nowo budować zręby niepodległego Państwa.

Niestety — nie można jednak powiedzieć, abyśmy z doświadczeń w przeszłości wyciągnęli wnioski właściwe i swoje stosunki z Rzymem ułożyli na takich zasadach, któreby

gwarantowały całkowicie naszą swobodę i naszą niezależność

w dziedzinie regulowania naszych stosunków wewnętrznych. Dowodem tego jest Konkordat, spreparowany przez rzymsko-papieskie kancelarje,

a potulnie przyjęty i podpisany przez Grabskiego, w wyniku którego Rzym dysponuje całkowitą swobodą w dziedzinie wygrywania swoich politycznych interesów w wewnętrznych stosunkach polskich,

ma u nas w kraju ponad 14 tysięcy wiernych tego interesu strażników w osobach biskupów, księży, zakonników i t.p., którzy nierzadko mówią, że

najpierw są „rzymianami", a dopiero potem Polakami.

MODLĄ SIĘ POD FIGURĄ...

Za te wszystkie dobrodziejstwa, Rzym w zawartym z nami Konkordacie „wspaniałomyślnie" obdarzył nas obietnicą...

wznoszenia w każdą niedzielę modłów za pomyślność Rzeczypospolitej i Jej Prezydenta.

To wszystko — dosłownie wszystko — cośmy od Rzymu dostali.

Wróciliśmy tedy znowu na rzymskie „podwórko" i z tej racji wyrażamy głęboką obawę o nasze życiowe i słuszne interesy „doczesne", jakże często różne od „wiecznych" interesów Rzymu.

Z nakreślonych przez nas uwag w sprawie „pożytku", jaki na nas spływa z racji podporządkowania się Rzymowi, nie wynika jednakże stosunek negatywny do religji, jako takiej, albowiem do tego zagadnienia odnosimy się

z najwyższym szacunkiem, tak jak na Polaków przystało!

POLACY KATOLICY

Możemy śmiało zaryzykować twierdzenie,

że dzięki religji katolickiej staliśmy się narodem zachodnio-europejskim,

w zaraniu dziejów naszych, głównie dzięki temu czynnikowi „umknęliśmy" z pod potwornego walca niemieckiego, staliśmy się narodem o dużej spoistości, która dzięki

nietylko patrjotyzmomi, ale również i przekonaniom religijnym

znakomicie pomogła nam w dźwiganiu i przetrzymaniu tragicznej niewoli.

Ziemia Chełmska i jej gehenna oraz Września, są tu ponad wszelką miarę pouczającym przykładem.

Dlatego sądzimy, że tej części naszej opinji publicznej, która stoi twardo na gruncie całkowitej niezależności naszej myśli politycznej od jakichkolwiek czynników obcych i nie wpatrzonej w Rzym, jako w źródło wszelkich natchnień i dobrodziejstw, jakie z niego płyną dla narodów przez ten Rzym ujarzmionych, nie potrzeba udawadniać,

konieczności, z jednej strony pozostawienia chrystjanizmu, jako czynnika wychowawczego o walorach niezastąpionych, z drugiej jednak—pozbycia się obecnej formy rzymskiej nad Polską „czułej opieki".

WASAL RZYMU

Wszystkie prawie narody świata pod tym względem wyemancypowały się niemal zupełnie, co im nie przeszkadza hołdować w dalszym ciągu wspaniałej idei chrystjanizmu, a *jedynie Polska jest ciągle rzymskim wasalem.*

Z tej, niezaprzeczonej prawdy, o naszej dużej od Rzymu zależności niektóre czynniki w Polsce wyciągnęły zbyt pośpiesznie wnioski, idące nie w tym kierunku, w jakim pójść powinny.

Zamiast bowiem pracować w kierunku

uniezależnienia Polski od rzymskiej międzynarodówki,

rzucono hasło bezbożnictwa.

To wygląda zupełnie tak samo, jak gdyby namawiano gorliwego patrjotę, ale niezadowolonego z danego ustroju politycznego,

do walki z własnem państwem.

WALKA Z... KATOLICKIM BOGIEM

Oczywisty nonsens i paradoks, którego

antywyznaniowi ideolodzy niechcą

czy też nie mogą dojrzeć.

Raczej... niechcą. — Bo jeśliby chcieli walczyć z Bogiem, to walczyliby ci ideolodzy bezbożnictwa nietylko wśród polskiego społeczeństwa będącego w olbrzymiej większości społecznością katolicką, ale walczyliby wszędzie.

(Dokończenie na stronie 2-ej)

Nowy sukces!

Do szeregu sukcesów „Wiem Wszystko", o których pisaliśmy w Nr. 27 naszego czasopisma, przybywa jeszcze jeden, tym razem o wielkiem znaczeniu państwowem.

Mianowicie, niemal bezpośrednio po naświetleniu przez nas w Nr. 28 „Wiem Wszystko" akcji wywrotowej—władze państwowe zarządziły rewizję w lokalach wymienionych przez nas czasopism, w księgarniach „Tom" przy ul. Leszno 77 i Fruchtmana przy ul. Świętokrzyskiej 35, w Stowarzyszeniu Wolnomyślicieli Polskich przy ul. Królewskiej 16 oraz u szeregu czołowych komunistów - intelektualistów.

Że nasza ocena podziemnej roboty ekspozytur Międzynarodówki Komunistycznej była trafna, świadczą o tem materjały, jakie wpadły w ręce władz bezpieczeństwa w czasie rewizji.

Znaleziono bowiem ogromną ilość materjałów kompromitujących wymienione księgarnie, czasopisma, różnych działaczy, a nadewszystko Stowarzyszenie Wolnomyślicieli Polskich.

W związku z przeprowadzoną akcją likwidacji ideo - komuny zatrzymano kilkanaście osób z b. senatorem Stefanem Boguszewskim na czele.

Red.

A CÓŻ TO ZA OBYCZAJE?

Polskie Radjo boi się dobrych słuchowisk

Ośmielając się w artykule p. t. „Pod mikrofonem siedzi moja Masza" drukowanym w poprzednim numerze WIEM WSZYSTKO wytknąć szereg iście azjatyckich metod, pleniących się w Pol. Radju, popełniliśmy wielki nietakt. Oto odważyliśmy się stwierdzić, że

podobała nam się transmisja z Muzeum Marszałka w Belwederze..

Pisząc o tej transmisji, zaznaczyliśmy, że przeprowadził ją: „z dużą kulturą, opanowaniem i wyrazistością p. Kruk, dając nam słuchowisko naprawdę wartościowe".

Że w swej ocenie nie byliśmy odosobnieni, świadczy o tem wymownie fakt otrzymania po dziś dzień 6 listów, których autorki bądź autorzy, podkreślając zgodnie całkowitą solidarność z nami co do fatalnego stanu programów Pol. Radja.

z najwyższym uznaniem mówią

o transmisji z Muzeum Belwederskiego.

Innego zdania jest Pol. Radjo. Bo czegóż się dowiadujemy?

Oto p. Kruk, którego nie znamy i w życiu na oczy nie widzieliśmy, stał się po opublikowaniu naszego artykułu,

kozłem ofiarnym dyrekcji Pol. Radja,

która ni mniej ni więcej, tyko podejrzewa tego pana, że jest on z nami w kontakcie, że dostarcza nam informacyj, że wreszcie wpłynął na nas abyśmy pochlebnie napisali o transmisji, którą on przeprowadzał!

Wytykając różne mankamenty domeny pp. Starzyńskiego, Sosnowskiej, Krzewskiego i in., nazwaliśmy je... azjatyckiemi kwiatuszkami, ale widzimy dzisiaj, po insynuacjach jakiemi obarcza się p. Kruka, że w Pol. Radjo niema kwiatuszków, jest natomiast

odór azjatyckiej ochrany

Boć trudno inaczej nazwać podobne metody postępowania. Pomijając już fakt, że we wspomnianym artykule nie poruszaliśmy żadnych zakulisowych tajemnic Pol. Radja (o których jeszcze będziemy mieli czas napisać), a tylko i wyłącznie audycje dostępne dla wszystkich radjosłuchaczy, bądź też sprawy o których zdały nam relacje osoby zainteresowane (reportaż z Rząśnika), a więc w żadnym razie tematy do których materjałów musiałby nam dostarczać p. Kruk, insynuowanie nam, że ocena transmisji z Belwederu została wywołana staraniami osoby zainteresowanej

jest poprostu wstrętne.

Dla wiadomości Pol. Radja podajemy raz jeszcze, że

p. Kruka nie znamy i nigdyśmy z nim bezpośrednio czy pośrednio nie kontaktowali się, że mimo to transmisja z Belwederu była piękna i wzruszająca, tak jak skandaliczna była transmisja z Hotelu Europejskiego, jak skandaliczne było dopuszczenie do mikrofonu „narodowego mówcy„ p. Rogalskiego z Wagons Lits-Cook, jak wręcz fatalna była transmisja z otwarcia Olimpjady, najeżona dowcipuszkami problematycznej wartości, jak wreszcie bzdurne były niedzielne reportaże p. Callisa, jak bezczelnem nadużyciem jest tytułowanie każdego bubka z Pol. Radja „redaktorem", jak wiele podobnych cudeńków, kwitnących, a zwłaszcza „prosperujacych" pod skrzydłami p. Starzyńskiego.

k. m.

A fe, panie ministrze!

Czy w Gazecie Polskiej zabrakło dziennikarzy?

XI-ta Olimpjada w Berlinie, wywołała w całem świecie zrozumiałe zainteresowanie. Wyjątkowo dogodne położenie geograficzne Berlina, sprawiło, że tegoroczną Olimpjadą zainteresowały się nietylko prawie wszystkie narody kuli ziemskiej, ale stolica Rzeszy stała się bazą niezliczonych ekip dziennikarskich, wysłanych tam przez poszczególne wydawnictwa różnych krajów, celem jaknajdokładniejszego informowania czytelników.

Prasa polska nie pozostała w tyle. Mimo ubóstwa jakie na tym odcinku panuje, dzienniki polskie znakomicie doceniając doniosłą rolę sportu w życiu młodego państwa, zdobyły się na wysłanie do Berlina kwiatu polskiego dziennikarstwa sportowego, jak np. b-ci Grabowskich, Erdmana, Muszałówny, Trojanowskiego, Gryżewskiego, Mossina, Radzimińskiego. Tak zrobił I.K.C. tak zrobił Kurjer Poranny, tak zrobił wreszcie koncern t.zw. prasy czerwonej i szereg pism pomniejszych. Możnaby było też zaryzykować twierdzenie że na odcinku sprawozdawczym Polska jest w Berlinie lepiej reprezentowana, niż na odcinku... sportowym.

Możnaby, gdyby nie czarna plama... Gazety Polskiej. Bo ten do niedawna wszechwładny organ pułkowników, ten dziennik, zresztą znakomicie redagowany, a przez szereg lat uchodzący w Polsce i poza jej granicami za oficjalny organ rządów pomajowych, wysłał na berlińską Olimpjadę jako swego oficjalnego sprawozdawcę sportowego (?) p. Henryka Lichtenbauma-Lińskiego!!!

Znakomityk rasnoludek, jest nam doskonale (niestety) znany z ponurych wypocin baletowych, lub bzdurnych „recenzyj" dyplomatycznych, ewentualnie z brukowych powieści i porad intymnych w jednym z dzienników żydowskich stolicy, ale po raz pierwszy dowiadujemy się, że ten skarłowaciały „mister Universum" jest również specem od sportu.

Ostatecznie, być może, że p. Liński lepiej zna się na rzutach dyskiem i skokach wdal, niż na figurach baletowych, czy jednak mimo to, redakcja Gazety Polskiej nie mogła znaleźć bardziej odpowiedniego reprezentanta na Olimpjadę w hitlerowskich Niemczech, czy to wysłanie p. Lichtenbauma nie zakrawa na arogancki afront w stosunku do wyjątkowo na tym punkcie przeczulonych gospodarzy?

Przecież gratis i stokroć lepiej zreferowałby czytelnikom Gazety Polskiej całą Olimpjadę chociażby ex-redaktor tego dziennika, członek Komitetu Olimpijskiego płk. Matuszewski, pyszny publicysta i niewątpliwie rasowy dziennikarz. Czy koniecznie i zawsze muszą reprezentować Polskę na forum międzynarodowem żydkowie?

(r.)

W CIĄGU 1 GODZINY...

W dziennikach amerykańskich ogłoszone zostały ostatnio wyniki obliczeń dokonanych przez arcy-speców statystycznych, którzy widocznie z braku innych tematów dla swych obliczeń, oraz w pogoni za ekscentrycznością, „obliczyli"

co się dzieje w ciągu jednej godziny na świecie i co w Stanach Zj. A. P.

Na podstawie tych „obliczeń" nader trudnych do skontrolowania, wynika, że w ciągu jednej godziny

rodzi się na świecie 5400 ludzi, a umiera 4650 osób.

W ciągu tej samej godziny ginie z rąk morderców 15 ludzi, dokonuje się 198.500 zbrodni,

1250 par zaślubia się, a 99 rozwodzi.

Wszystkie istniejące na świecie fabryki cukru wyrabiają w ciągu jednej godziny 99.600 tonn, t. j. o 1.600 tonn więcej, niż ludność całego świata w ciągu godziny spożywa.

Wobec tego, że najwięcej cukru „idzie" do kawy i herbaty, wyliczyli ciż specjaliści-statystycy, że w ciągu godziny produkcja kawy wynosi 227.600 kg., spożycie zaś wynosi

50 miljonów filiżanek.

Herbaty natomiast zbiera się w ciągu godziny 36.600 kg., a wypija 7,5 miljona filiżanek.

W ciągu jednej godziny ludność całego świata spożywa

70 miljonów funtów chleba,

50 miljonów funtów ziemniaków i 8 miljonów funt. mięsa.

A w U. S. A.?

W ciągu jednej godziny sprzedaje się

gumy do żucia za 2000 dol., drogerje i perfumerje sprzedają 6000 kg. kremów, 3000 l. wody toaletowej, 2150 kg. mydła „twarzowego" i 270 kg. szminki nieteatralnej.

Obywatele i mieszkańcy Stanów Zj. A. P. wysyłają w ciągu godziny 14.000 telegramów i 1,141,000 listów, paczek i kart korespondencyjnych.

W ciągu jednej godziny drukuje się w USA 60 miljonów najrozmaitszego rodzaju gazet, dzienników, czasopism, magazynów etc.

Ale...

W ciągu jednej tylko godziny seismografy notują 1 trzęsienie ziemi a 4 orkany sieją swe spustoszenia.

Dziennie zatem mamy wedle tych obliczeń

12 trzęsień skorupy ziemskiej i 48 huraganów i orkanów.

(a.).

(Dokończenie ze strony 1-ej)

Walczyliby również i *z Bogiem mającym swą siedzibę w synagodze.*

Tymczasem niczego podobnego dojrzeć, ani usłyszeć nie można, jakkolwiek mojżeszowe wyznanie jest przecież najbardziej zacofaną religją świata.

Prosimy wziąć do ręki poszczególne numery *„Wolnomyśliciela Polskiego"* lub *„Błysków Wolnomyślicielskich"*, prosimy przyjrzeć się działalności Stowarzyszenia Wolnomyślicieli Polskich, a każdy nieuprzedzony czytelnik i obserwator dojdzie niewątpliwie do przekonania,

że pod tą „wolnomyślicielską" pokrywką walki z religją, kryją się cele dalsze, na zrealizowaniu których bardzo zależy... Moskiewskiej Międzynarodówce.

A to już wystarczy, aby każda tego rodzaju „ideologja" dostała mocno w łeb i została całkowicie wymieciona ze wszystkich zakątków Polski.

BYŁA, JEST I BĘDZIE

Albowiem *Polska była, jest i pozostanie chrześcijańską — to jest jej wielkim walorem i zarazem atutem.*

Polska przyszła wyemancypuje się z pod wpływów rzymskiej międzynarodówki, nie pójdzie ona jednak również pod wpływy, ani pod komendę żadnej innej międzynarodówki. Zachowa swą całkowitą niezależność w dziedzinie myśli i czynu, *ale pozostanie chrześcijańską.*

Zabiegi ideologów bezbożnictwa w dobrze zrozumianym interesie Państwa muszą być w zarodku tępione, albowiem za plecami szermierzy tej ideologji *stoi również... międzynarodówka*, tem groźniejsza, że czyhająca na naszą niepodległość.

PRECZ Z CZERWONEMI ŁAPAMI

Dlatego dobrze się stało, że władze zdecydowały się wreszcie na ukrócenie wybryków Stowarzyszenia Wolnomyślicieli Polskich i położyło na nim... pieczęcie.

Czynniki państwowe winny postępowć tak w każdym wypadku, przy każdej próbie i chęci obdarzania Polski, „ideologją" bezbożnictwa, osłabiającego naszą narodową zwartość, tak cenną i tak konieczną może nie dla polskiego szlachetki, „popuszczającego pasa", ale, i to przedewszystkiem dla Polskiego Żołnierza, na którego z otuchą patrzy dzisiaj cała Rzeczypospolita. W.

NIESŁAWA PANI SŁAWSKIEJ

Porażka „prymabaleriny" Opery Warszawskiej

W nr. 24 WIEM WSZYSTKO z dn. 5 lipca b. r., poświęcając dłuższy artykuł („Dlaczego właśnie one?") sprawie naszej reprezentacji na Olimpjadę taneczną w Berlinie, zakończyłem go następującym fragmentem:

Byłoby conajmiej przesadą specjalne rozdzieranie szat nad wysłaniem pp. Buczyńskiej i Sławskiej do Berlina. Sukcesy czy przegrana tej niefortunnej ekipy tanecznej w najmniejszym stopniu nie wpłyną na losy Rzeczypospolitej i jej imienia wśród obcych, ale... jak na wstępie zaznaczyliśmy, wybór tych właśnie tancerek, lansowanych przez mętnych żydków—ignorantów, i usłużnych dostojników, lansowanie za publiczne pieniądze, przeznaczone na wielkie dzieło szerzenia polskiej sztuki wśród obcych, jest jeszcze jednym, jakże bardzo smutnym dowodem rozwielmożnienia w Polsce protekcjonizmu i kretyńskiego wyrzucania pieniędzy w błoto Jeśli bowiem dzisiaj Polska, przed Albanją najbiedniejszy kraj w Europie, decyduje się na wysłanie specjalniej olimpijskiej ekipy tanecznej, to kardynalnym obowiązkiem oficjalnych organizatorów tej imprezy jest wybrać zawodnikow w 100% „murowanych".

I oto raz jeszcze potwierdzają się w całej rozciągłości przewidywania WIEM WSZYSTKO. Oficjalne komunikaty PAT-a

mówią bardzo niewyraźnie

o sukcesach baletu Parnela i tryumfach p. Buczyńskiej, słowem nie wspominając o najmniejszem chociażby zwycięstwie p. Sławskiej.

SUROWO ALE SŁUSZNIE

Rezygnując jednakże z oficjalnych „naświetleń", właściwe wnioski wolimy wysnuć z relacyj bezpośrednich obserwatorów olimpijskich wyczynów tanecznych. Relacje te, z rzadko spotykaną zgodnością podkreślają

przeciętny poziom

naszej ekipy, jeśli idzie o zespół Parnela, niewątpliwy

wdzięk i miłą interpretację,

jeśli idzie o p. Buczyńską, i kompletną

ignorancję techniczną,

jeśli idzie o „reprezentacyjną" tancerkę klasyczną p. Sławską.

EKIPA KREZUSÓW

Reasumując — bilans nie wesoły, ale zato bardzo kosztowny, bo ekipa nasza była przez TOSSPO nader szczodrze zaopatrzona w gotówkę, tak szczodrze, iż w Berlinie w pierwszej chwili przypuszczano, że zjechała ekipa jakiegoś maharadży indyjskiego, czy dawnej, przedwojennej Rosji. Tę ostatnią ewentualność podkreślał moment, że balet Parnela, występujący poza granicami naszego kraju, jako „polski balet narodowy", reklamuje się od pewnego czasu plakatami

wykonanemi przez... rosyjskiego malarza.

Pogodzilibyśmy się ostatecznie z tym faktem, gdyby plakat baletu Parnela był dziełem powiedzmy

znakomitego Baksta,

ale nic podobnego. Kiepski, zupełnie w charakterze nie utrzymany rysunek spłodził jakiś bliżej nam nieznany „mistrz". Rozumiemy, że p. Parnel nie mógł dojść do porozumienia z p. Stryjeńską, ale wszakże poza p. Stryjeńską jest w Polsce jeszcze

paru innych, pierwszorzędnych artystów,

którzyby z talentem wykonali plakat reklamowy.

KRYTYKA ZESPOŁU PARNELA

Sam taniec zespołu Parnela nastręczył również wiele zastrzeżeń, nietylko wśród widowni i jury, ale także spotykamy się z temi zastrzeżeniami w prasie berlińskiej, która przedewszystkiem podkreśla zbyt wielkie... rozbieganie tancerzy, zbytnią chaotyczność, a wreszcie słusznie zapytuje, czy aby Parnela stylizacja i interpretacja polskich tańców ludowych

nie jest zbyt przejaskrawiona

i czy wogóle jest potrzebna? Są to oczywiście indywidualne oceny krytyczne, ale świadczą one wymownie o tem, że przyjęcie naszych tancerzy w Berlinie dalekie było od spontanicznych hymnów olśnienia.

WDZIĘK ZIUTY BUCZYŃSKIEJ

Jak wspomnieliśmy już, p. Buczyńska raczej podobała się. Dalsko coprawda jej było do żywiołowości tańca Halamy, ale młodość i niezaprzeczalny wdzięk, pospołu z niewątpliwie

inteligentną i wnikliwą interpretacją,

nie pozwoliły pokwitować tancerki zdawkową uprzejmością, przeznaczoną dla polskich „sąsiadów".

Przykre nieporozumienie wyszło jedynie z p. Sławską. Gwiazda rodzimego Grajdołka, po za jego terenem zmalała i zbladła tak gwałtownie, że występy jej przeszły nieomal bez wrażenia, kwitowane jedynie suchotniczemi oklaskami satelitów z tegoż właśnie Grajdołka, gdzie p. Sławska, jest usilnie lansowana jako wcielenie Krzesińskiej czy Pawłowej.

PORAŻKA SŁAWSKIEJ

Porażka p. Sławskiej jest o tyle bardziej charakterystyczna, że taneczna Olimpjada berlińska niezwykle silnie obstawiona tancerkami i tancerzami modernistycznemi, na odcinku tańca klasycznego przedstawiała się raczej b. słabo. Mimo to,

p. Sławska nie tylko nie zwyciężyła,

ale nawet nie wyróżniła się.

Fakt ten jest klasycznym przykładem tak bardzo charakterystycznego dla naszej aury rozdmuchiwania mierot do gigantycznych wymiarów gwiazd, podczas, gdy prawdziwe wartości starannie spycha się na szary koniec (na odcinku tańca klasycznego — Barbara Karczmarewicz).

MANAGER Z TEL-AVIVU

Być może, że rezultaty tańca p. Sławskiej nie byłyby tak opłakane, bo jest ona wszakże i

niewątpliwie urodziwą kobietą

(dały temu wyraz poniektóre gazety berlińskie) i sprezentowała widzom wspaniałe kostjumy, ale tancerka nasza popełniła fałszywy krok, powierzając swe losy p. Lińskiemu.

„Redaktor" Liński, który znakomicie mógłby być managerem niejednej gwiazdy w Tel-Avivie, w Berlinie był

przykrem i złośliwem nieporozumieniem,

które niewątpliwie nie przyczyniło się do wytworzenia wokół osoby p. Sławskiej, której stale asystował, przychylnego klimatu.

KOMPROMITACJA „PRIMABALERINY"

Porażka p. Sławskiej dotyka niewątpliwie i p. Korolewicz-Wajdową, która pochopnie kreowała

najsłabszą pod względem technicznym

tancerkę baletu Opery warszawskiej na primabalerinę... Jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że w Berlinie p. Sławska była od pierwszej chwili lansowana zarówno przez p. Lińskiego, jak i przez paru usłużnych bubków MSZtowych jako

właśnie... primabalerina Opery warszawskiej,

nic dziwnego, że Operze tej zrobiła fatalną reklamę i zrozumiałe jest w tych warunkach pytanie jednego z berlińskich krytyków, który w rozmowie ze współpracownikiem naszej Redakcji zapytał dlaczego Opera warszawska godności primabaleriny baletu nie powierzyła lepiej przebywającej na emigracji w Polsce Ruth Sorel-Abramowitsch.

— Ona jest coprawda żydówką,— zauważył Niemiec,

ale tańczy lepiej od tej pani

I miał rację. Olimpijski występ p. Sławskiej pod auspicjami TOSSPO, MSZ i Pieców Ostrowieckich

nie przyniósł nam sławy.

Krzysztof Miłosz.

TO JEST „PROPAGRANDA"

Czy reklamujemy „Grom", czy p. Konsulową?

W dokach angielskich został przed kilkunastu dniami spuszczony na wodę

nowy kontrtorpedowiec polski „Grom".

Londyński korespondent PAT-a p. Litauer z iście litewską energją napisał na ten temat kilkanaście wierszy, które wetknięte w serwis PATa trafiły do naszej prasy lub nie. Raczej nie.

I tu się zaczyna skandal, bo albo p. Litauer istotnie napisał tylko kilkanaście wierszy, z uroczystości

tak bardzo istotnej dla młodego państwa,

które ani na chwilę nie przestaje nawoływać do budowania floty wojennej, to za co u djabła pobiera

od Rzeczypospolitej ciężkie [pieniądze?

Czy może za reprezentowanie typu nordycko-sarmackiego w londyńskim klubie prasy zagranicznej?

A jeśli poinformowano nas mylnie i p. Litauer w całej rozciągłości spełnił swój obowiązek dziennikarski, dostarczając PATowi możliwie wyczerpujący materjał, to

cóż za bęcwał wrzucił ten materjał do kosza,

zamiast dostarczyć go redakcjom z najuprzejmiejszą prośbą o specjalnie obszerne wykorzystanie?

Tak czy inaczej — sprawa jest jeszcze jednym, mocno nieprzyjemnym dokumentem naszej

„propagrandziarskiej" rzeczywistości,

którą winno jak najrychlej zająć się Biuro Akcji.

Przy okazji warto dodać, że redakcjom polskich czasopism dostarczono z uroczystości wodowania „Gromu" zdjęcia fotograficzne. Trzy czy cztery czasopisma umieściły zdjęcia (notabene b. słabe)

przedstawiające kadłub „Gromu",

wszystkie inne reprodukują podobiznę bardzo uroczej p. konsulowej Poznańskiej, która z gracją Marleny Dietrich upozowała się przed objektwem trzymając w drobnej dłoni... butelkę szampana.

Ani na chwilę nie wątpimy, że zdjęcia z p. konsulową wybrano dlatego,

że jest ciekawsze, niż inne zdjęcia,

ale.... czy to znów jest w porządku? Czy szło o propagowanie wśród czytelników ubogiej prasy polskiej, która naogół niezbyt chętnie szafuje kliszami,

p. Poznańskiej w eleganckiej etoli ze srebrnych lisów, czy też nowej bojowej jednostki morskiej,

na której powstanie złożyły się nędzne grosze chłopów, urzędników i robotników polskich?

(p.)

SPORT I MILJONY

W związku z odbywającą się Olimpjadą, zamieścił w swem miesięcznem sprawozdaniu „New-York Trust-Bank" dane, dotyczące wpływu sportu na życie gospodarcze USA.

W myśl tych wywodów, wynosiły wydatki obywateli USA na cele sportowe w latach przedkryzysowych *przeszło miljard dolarów rocznie*. Wydatki te w miarę postępu kryzysu spadały z roku na rok, a w r. 1933 dosięgły zaledwie pół miljarda dolarów.

W roku bieżącym stwierdzić się daje znaczny wzrost wydatków na cele, związane ze sportem, tak, że z końcem r.b. osiągną bez wątpienia *znów sumę miljarda* dolarów.

Przy sposobności wymienia sprawozdanie „N. Y. Trust-Bank" po kolei te sporty, którym obywatele USA najchętniej się oddają. Pierwsze miejsce zajmuje: wędka. Corocznie wykupują zwolennicy tego sportu conajmniej *6 miiljonów kart-licencyj*, a conajmniej jeszcze raz tyle uprawia ten spokojny zresztą i arcy bezpieczny sport bez żadnych licencyj. Na drugiem miejscu mieści się: bilard. Liczba sportowców od kuli i kija *wynosi conajmniej 8 miljonów*, wpisanych jako czynnych członków specjalnych klubów bilardowych. Kolejne miejsce zajmują: kręgle, tenis, stołowy, strzelanie do lotek, tenis, golf, koszykówka (Baskett-Ball), Vaseball, Football, box, wyścigi konne, zapasy, hockey, wyścigi psów, etc. etc. Kolejność ustalaną została wedle ilości płatnych wstępów na poszczególne rodzaje imprez. W r. 1935 n. p. sprzedano biletów wstępu na zawody *„Baskett-Ball" 60 miljonom (!!!) osób. (a).*

PANNA W WANNIE

Do ciupy z takim Mahatmą!

Od dłuższego czasu grasuje w Warszawie pewien lekarz niemiecki, nie mówiący ani słowa po polsku.

Oczytany ten jegomość i przytem niesłychanie rzutki i sprytny, szybko nawiązał kontakt z naszymi domorosłymi magami „białej i czarnej magji".

„WIELKI MAHATMA"

W dziwnie łatwy sposób oczarował sprytny Niemiec naszych mistrzów, rzucając gromy, na dzisiejszą medycynę i dowodząc, że tylko leczenie „astralne" można leczyć ciało.

Dość, że nasi mistrzowie patrzą na Niemca, jak na jakiegoś bożka, kreując go na „wielkiego mahatmę".

Wszystko byłoby w porządku, gdyby niemiecki „mahatma" ograniczył swą działalność do, licznych zresztą, grup pomyleńców okultystyczno-spirytystycznych.

Niestety, „mahatma" chce najwidoczniej zrobić u nas w szybki sposób fortunę, licząc na łatwowierność ludzką.

Niemiecki lekarz, korzystając z poparcia swych wielbicieli okultystycznych rozpoczął leczenie licznych pacjentów, stosując hypnozę „persy", masaże i t. p. zabiegi „lecznictwa okultystycznego".

Niezależnie od tych zabiegów lekarskich, „wielki mahatma" stosuje normalne metody wszystkich naszych domorosłych, a wielce szkodliwych naogół czarnych i białych magów.

PANNA W UKROPIE

Znany nam jest np. wypadek, że jedna z pań czuła się już od dłuższego czasu bardzo źle. Narzeczony tej pani, wielki zwolennik niemieckiego „mahatmy" poradził jej, aby się udała do niego. Po długich namowach, narzeczony zaprowadził do Niemca pannę swego serca.

Naszem zdaniem, tej miłej pani szybko poprawiłoby się zdrowie, gdyby przyspieszono termin ślubu. W tem bowiem była cała przyczyna niedomagań.

„Wielki mahatma" niewątpliwie zrozumiał to sam. Ale czemu nie upiec przy tem swej pieczeni, skoro naiwni sami tego pragną?

Wsadził więc „mag" pannę do wanny z ukropem i zaczął robić początkowo „persy", a potem masaże.

„Mahatma" jest człowiekiem młodym. Najwidoczniej więc ukrop z panną w wannie uderzył mu do głowy, gdyż zaczął przy masażach pozwalać sobie na różne, niekoniecznie dla pacjentki miłe, karesy.

Pacjentka dość miała tej kuracji. Osadziła na miejscu lekarza, szybko się ubrała i poskarżyła się narzeczonemu.

POMYLONY NARZECZONY

Ten, o dziwo, zamiast odpowiednio nauczyć rozumu bezczelnego Niemca, pogniewał się z narzeczoną, dowodząc, że „mahatma" stoi na tak wysokim poziomie duchowym, że tak niskie zamiary nie mogły nim kierować. Tego rodzaju sposoby musiały widocznie być potrzebne do kuracji, a zachowanie się narzeczonej, to była zwykła kobieca przesada i panieńskie szopki.

Miła więc pani musiała potrudzić się po raz drugi do wanny z ukropem „wielkiego mahatmy".

Przy masażach, naturalnie powtórzyły się karesy. Jakiś czas panna spokojnie je znosiła, pamiętając reprymendę narzeczonego. Widząc jednak, że „mag" pozwala sobie co raz więcej, że to już nie są „panieńskie szopki", zwymyślała po polsku „mahatme" i uciekła.

KURACJA ZASZKODZIŁA...

W wyniku kuracji, coś tej miłej pani zaszkodziło, gdyż naprawdę zachorowała. Nie mogła chodzić. Dątknął ją jakiś paraliż.

Zwarjowany narzeczony nie pozwalał na zawołanie innych lekarzy, sprowadzał tylko „mahatmę". Tego znów panna nie wpuszczała do swego pokoju.

Po tygodniu paraliż sam przeszedł, widocznie było to na tle nerwowem. A panna postawiła ultimatum narzeczonemu: „Albo ja, albo mahatma".

Możliwie, że narzeczony wybrałby „mahatmę", gdyby nie to, że „dobroczyńca ludzkości", mający ją leczyć bezpłatnie, akurat nadesłał słony rachunek.

To sprowadziło otrzeźwienie.

LICZNI PACJENCI

„Mahatma", dzięki swym zwolennikom nie może narzekać na brak pacjentów. Między licznymi jego pacjentami znajduje się pewien bogaty kupiec z ul. Koszykowej, oraz pewna niema kilkunastoletnia dziewczynka, zamieszkająca w jednej z miejscowości podstołecznych.

„Mag", gdy niemą dziewczynkę obejrzał, zawołał z entuzjazmem:—„Co, nie mówi? Za pare dni ją wyleczymy"!

Tymczasem upłynęło już parę miesięcy, a niema, jak nie mówiła, tak nie mówi.

O metodach kuracyjnych, stosowanych względem tej dziewczynki, mówić nie możemy, gdyż „mahatma" podczas zabiegów musi koniecznie być sam na sam z pacjentką.

A niema kilkunastoletnia dziewczynka, to nie oburzona narzeczona. Można jednak wyciągać jasne analogje...

MAGJA ŚREDNIOWIECZA

Gdy się patrzy na tego rodzaju postępowanie tych różnych „mahatmów", „cudotwórców" i „magów", to nie można wyjść ze zdumienia, w jakich czasach żyjemy.

Średniowiecze, barbarzyńskie średniowiecze, z jego ponuremi zabobonami, wydaje się przez sztuczki dzisiejszych „mistrzów czarnej magji", dziwnie bliskie i tak dobrze zrozumiałe.

Całe falangi zabobonnych, pełnych przesądów ludzi, idą wciąż na lep słówek i praktyk magików średniowiecza.

Dziwić się tylko należy, dlaczego tylu ludzi daje posłuch tym okultystycznym aferzystom. Czemu tego rodzaju plugawe „mahatmy" mogą brać na lep, niejednokrotnie ludzi rozumnych i wykształconych.

Jest w tem wszyskiem coś niezrozumiałego, coś dziwnie niepokojącego. Zwłaszcza, że pacjenci zraziwszy się do jednego „maga", wpadają w objęcia „drugiego". I przechodzi cały łańcuch ludzi kolejno przez równie bogaty szereg pomyleńców i aferzystów okultystycznych.

Na zakończenie warto zaznaczyć, że niemiecki „mahatma" cieszy się większem powodzeniem od innych pokrewnych mu osobników, właśnie dlatego, że nie mówi po polsku.

Czyżby zatem, u nas, należało w tem szukać rozwiązania zagadki powodzenia różnych „magów".

Co jest niezrozumiałe, to z pewnością może liczyć na ogólne zainteresowanie?... A zwłaszcza, jeśli to coś niezrozumiałego nie jest polskie...

has

BAGIENKO FILMOWE

HISZPANKA I LWY

Co z tego „wyrośnie"?

Niezrośnięty z rodzimą branżą filmową, wskutek zbyt wielkich horyzontów i uczciwości, mimo pobytu w Vaterlandzie gangsterów Ameryce U.S.A.

reżyser Adam Augustynowicz

rozpoczął kręcenie filmu p.t. „Strzał w operze".

Najwymowniejszy ten człowiek, ongiś sprzedawca aut, który potrafił zmusić panią Z. do kupna u niego samochodu, mimo iż

weszła do sklepu jedynie zatelefonować,

niezgorszy dziennikarz filmowy, być może pokaże lwi pazur. Dlatego też zaczął od filmowania w ub. tygodniu... lwów.

Zdjęcia poczęto kręcić w ogrodzie zoologicznym, zaprosiwszy t. z. „branżę" i „prasę".

Lwy jednak

na widok branży dały drapaka

i po podkuleniu ogonów, ani chciały pokazywać się. Natomiast pobliskie małpy przywitały filmowców, „prasowców" i referentów propagandowych, chóralnem wyciem

bratnich porykiwań.

Panna June Gordez, płomienna hiszpanka, odtwórczyni głównej roli musiała wejść do wybiegu ze lwami. Branża futrzana odniosła się do niej sympatycznie i jeden z lwów

oblizał nawet odważną artystkę

odchorowując to coprawda boleścią żołądka. Nie była winna temu miła śpiewaczka, ale szminka. Na wszelki wypadek reż. Augustynowicz wręczył zawołanemu myśliwcowi z Nowego Światu i tęgiemu strzelcowi red. M. Godlewskiemu, sztucer, z którego ten miał

ustrzelić króla pustyni

na wypadek chęci pożarcia gwiazdy.

Dziennikarz jednakże nie miał potrzeby jak Tartarin, upolować lwa w Warszawie.

Ze zmartwieniem natomiast podobno odmówił zastrzelenia p. Hermelina (z branży filmowej) tłumacząc się

zbyt wielkim kosztem noboju.

„Branża" lizała lody „Pingwin" resztki rzucając bliskim i pakownym małpkom. Podobno parę z nich rozchorowało się następnie na choroby dyskretne.

Jeden z filmowców proponował

wlanie dwum lewkom wódki do mordek

i urządzenia gonitwy za „urżniętemi" królewiętami. Niedopuścił do tego solidny dziennikarz p. Marjan Czermiński, współredaktor „Czasu".

Po paru godzinach „branża" polazła do domów, biorąc na języki robotę A. F. Augustynowicza.

Zobaczymy co z tego wyjdzie. Pomysł scenarjusza oryginalny, a scena jak p. Gordez zwraca się do narzeczonego i mówi:

Nie chcesz mnie ty pocałować, to pocałuje lew! —

oryginalna nie tylko w djalogu.

Qu-Qui.

Tydzień ubiegły

Mimo wszelkich pozorów, mimo pięknych tradycyj, żyjemy w kraju, który na różnych odcinkach naszego życia przypomina nietyle może Meksyk, ile... podziemny świat gangsterskiego Chicago.

Jeśli jest jakaś różnica między gangiem chicagowskim, a gangiem warszawwskim, to chyba tylko ta, że ten pierwszy, dzięki amerykańskiemu filmowi i prasie owiany jest większym romantyzmem.

Gang warszawski odarty jest z jakiegokolwiek uroku, z jakichkolwiek chociażby pozorów wdzięku ludzi podziemnych, jest ubogi, chytry i łapczywy, a przy tem wszystkiem bardzo chętnie i z niewątpliwym talentem drapuje się w teatralne kostjumy społeczników czy innych dobroczyńców ludzkości.

Rodzimy gang, bardzo często i bardzo chętnie korzysta np. z przykrywki prasowej. Można bez przesady zaryzykować twierdzenie, iż olbrzymia większość najróżniejszych aferzystów i łotrzyków z pod bardzo ciemnej gwiazdy, z reguły posługuje się tytułem „dziennikarza” czy „redaktora”, może dlatego, że tytuły te otwierają drogę do wielu, najbardziej obwarowanych celów, a może i dlatego, że właśnie zawód dziennikarski jest w Polsce zawodem nie chronionym żadnemi przepisami czy ustawami.

Klasycznym przykładem rozwielmożnionego gangu, przyodzianego w „prasową” szatę, jest afera, która w najbliższych dniach znajdzie swój epilog w... sądzie grodzkim.

Przed paru miesiącami na łamach pewnego „organu“ antysemickiego, który powstał jedynie i wyłącznie dla wyszantażowywania ogłoszeń od firm chrześcijańskich, zaczął popisywać się pewien pseudo-dziennikarz podpisujący się powiedzmy pseudonimem „X”.

Organ bardzo chętnie i w wielkich ilościach publikował eleboraty pana X., korzystając z jego usług na różnych odcinkach.

Sympatja i zaufanie do pana X. były tak wielkie, że kiedy rozpoczął on na łamach wspomnianego „organu” publikację rewelacyj dotyczących wielkiej instytucji społecznej, „redaktor” czasopisma nietylko, że nie miał żadnych zastrzeżeń co do tych rewelacyj, ale poświęcał na nie po pół numeru swego wydawnictwa.

Niestety, akcji oczyszczenia atmosfery w wymienionej instytucji społecznej, podjął się człowiek nie zupełnie do tak misternej i odpowiedzialnej roboty przygotowany. Być może, że oprócz nieprzygotowania, p. X. popełnił jeszcze inne błędy, faktem jest, że o każdym jego kroku musiał z matematyczną dokładnością wiedzieć wspomniany „redaktor”.. Któregoś dnia — bomba pęka! Pana X. aresztują, a prasa, podając o tem notatkę, zaznacza, zupełnie zresztą słusznie, że rzekomo szantażowe artykuły pojawiły się na łamach antysemickiego „organu” którego aresztowany był członkiem redakcji.

„Redaktor”, widząc że wpadł w mocno nieprzyjemną sprawę, robi piękną woltę i... najbezczelniej w świecie stwierdza, że pan X. nigdy nie był jego współpracownikiem i wogóle nic o tej całej aferze nie wie.

Gdybyśmy nie czytali w tym sławnym „organie” enuncjacyj podpisanych właśnie przez pana X., gdybyśmy nie wiedzieli że pismo to ma na swem sumieniu już nie jedną podobną sprawę, czego dowodem są wyroki sądowe, możebyśmy uwierzyli zapewnieniom „redaktora” z toru wyścigowego, ale... jest inaczej. I dlatego bez cienia przesady można stanowisko „redaktora” skwalifikować jednem tylko mianem: gangsterska podłość, tem większa, że odżegnywując się dzisiaj od swego współpracownika, któremu niewątpliwie wiele zawdzięcza, jednocześnie szkaluje go i zohydza.

Tu, korzystając z okazji warto wyświetlić tajemnicę błyskawicznych narodzin coraz to nowych wydawnictw, ostrzem swem skierowanych przeciwko żydom.

Czyżby naprawdę?...

...firma Erricson, główna akcjonarjuszka PASTy, która dotychczas starała się wszelkie, niezbędne dla niej artykuły zakupywać w Polsce, po wprowadzeniu ograniczeń dewizowych wszystko sprowadza ze Szwecji? Oczywiście i przed ograniczeniami dewizowemi, Erricson sprowadzał różne artykuły ze swej ojczyzny, dzisiaj jednak zakupuje tam nawet najdrobniejsze śrubki, uzyskując w ten sposób możność wywożenia z Polski gotówki.

•

...jedna z najsławniejszych pieśniarek polskich, występująca z powodzeniem na naszych scenach i scenkach, już w najbliższej przyszłości miała wstąpić w związki małżeńskie z młodziutkim poetą, głównym „dostawcą“ tekstów do piosenek wspomnianej artystki?

•

...na parę dni przed oficjalnem ogłoszeniem ograniczeń dewizowych, jeden z wybitnych działaczów ze slawnej grupy colonel'ów przekazał za pośrednictwem przyjaciela swego, głośnego machera giełdowego, do jednego z banków zagranicznych 140,000 zł.? Byłaby to oczywiście kropla z tego morza, o którem tak mglisto i niezdecydowanie raczył powiedzieć p. wicepremjer Kwiatkowski.

•

...polscy dziennikarze sportowi, wysłani na Olimpjadę w Berlinie, zostali przez tamtejszy komitet olimpijski potraktowani w dość dziwny sposób? Oto, wedle niesprawdzonej pogłoski, dziennikarzom przybyłym na Olimpjadę wręczono specjalne legitymacje, upoważniające do bezpłatnego wstępu na wszelkie imprezy olimpijskie. Legitymacje te podzielono jednakże na dwa typy: małe i duże. Duże otrzymały wielkie dzienniki włoskie, francuskie, amerykańskie, angielskie, etc., przyczem upoważniają one do wejścia na wszelkie imprezy. Natomiast małe, które oprócz Polaków otrzymali dziennikarze kilku pomniejszych państw, uprawniają do korzystania z niektórych tylko imprez. Znając znakomitą organizację niemiecką, pogłoska ta wydaje nam się złośliwą plotką, którą jednakże notujemy z obowiązku dziennikarskiego.

•

...w jednym z teatrów warszawskich, artyści ubierali się w garderobach tak wilgotnych, że po ścianach spływają strumyki wody? Ponadto, w tymże teatrze od tygodnia zepsute są wszystkie ubikacje i cały zespół musi korzystać z bardzo... wiejskich przywilejów.

WCHODZIMY W PODZIEMIA

gangu asekuracyjnego stolicy

W poprzednim numerze WIEM WSZYSTKO opublikowaliśmy sensacyjny komunikat p. Aleksandra Rozetszteina, który śmiało i zdecydowanie postanowił wystąpić

do walki z gangiem asekuracyjnym,

rozplenionym do niewiarygodnych rozmiarów.

O nader dodatniej inicjatywie autora komunikatu,

świadczy wymownie list,

adresowany do p. Rozetszteina, a znajdujący się w naszem posiadaniu.

Drukując poniżej list ten w całości, możemy zakomunikować naszym Czytelnikom, że już w najbliższej przyszłości przystąpimy do publikowania

rewelacyjnych materjałów,

dotyczących zarówno agentów ubezpieczeniowych, instytucyj które ci agenci reprezentują, jak i urzędów powołanych do

sprawowania nadzoru

nad ruchem ubezpieczeniowym w Polsce.

Możemy bez przesady stwierdzić, że podobnie sensacyjnych materjałów nie opublikowano nawet w sprawie głośnej w całej Europie afery „Feniksa“.

•

Przeczytawszy komunikat WP. Nr. 1 z dnia 23/VII.36 r. niniejszym komunikuje, że jestem jednym z *poszkodowanych* przez agenta ubezpieczeniowego *Lipskiego Mieczysława.* Od dłuższego czasu noszę się z zamiarem skierowania sprawy na właściwe tory. Obecnie dowiadując się o akcji WP. co do selekcji nieuczciwych pośredników ubezpieczeniowych postanowiłem *prosić pana by mi pomógł* wybrnąć z sytuacji, w której dzięki nadużyciom i matactwom tegoż Lipskiego znalazłem się.

Na wiosnę 1935 r. gdy byłem w chwilowych tarapatach pieniężnych, zgłosił się do mnie agent Lipski, i zaproponował, że może uzyskać dla mnie *pożyczkę*, w wysokości zł. *950* (dziewięćset pięćdziesiąt) w towarzystwie Ubezpieczeń „Riunione“ o ile jednocześnie *ubezpieczę się na życie na sumę zł. 10.000.—*. W dniu 29/IV.35 r. wręczyłem Lipskiemu 11 weksli na sumę zł. *950* (dziewięćset pięćdziesiąt) i oczekiwałem otrzymania pieniędzy, zaznaczam, że 4 weksle po złotych 100 z wystawienia A. Lewandowskiego i A. Siwińskiego otrzymałem w drodze grzecznościowej, gdyż Lipski żądał także podpisy moich kolegów do dnia dzisiejszego *ani jednego grosza z tytułu rzekomej pożyczki nie otrzymałem*, niezależnie od tych weksli wręczyłem Lipskiemu na żądanie jego 2 weksle z wystawienia Lewandowskiego na sumę zł. *200* oraz 2 weksle z wystawienia mojego na zł. 150.— w łącznej sumie zł. *350.*— które to weksle miały iść na pokrycie polisy ubezpieczeniowej, muszę stwierdzić, że *polisy nie otrzymałem.* Na niejednokrotne moje interwencje u Lipskiego w sprawie zwrócenia mi weksli bądź pieniędzy, stale otrzymywałem odpowiedź, że on to załatwi. W międzyczasie płatności weksli nastąpiły, których część musiałem wykupić, resztę nie byłem w stanie i stego tytułu *nałożono mi areszt* na pensję, który jest mi potrącany do tej pory w wysokości *zł. 53 miesięcznie.* Niezależnie od straty materjalnej człowiek ten popełnił wobec mnie krzywdę moralną:

1) pieniądze otrzymane z domniemanej pożyczki miały iść na spłatę zaległego przeze mnie komornego w domu w którym kiedyś mieszkałem Bema 91. Ponieważ Lipski zwodził mnie stale obiecując załatwienie sprawy pożyczki, „w ciągu paru godzin“ a ja zaufałem mu, *zostałem wyeksmitowany z mieszkania, z rodziną moją t.j. żoną i choremi dziećmi.*

2) W związku z akcją oddłużeniową przeprowadzoną przez Zarz. Miejski i wynikającemi ztąd możliwościami dla mnie spłaty swoich długów, możliwość ta odpada w związku ze spłatą weksli wyłudzonemi przez Lipskiego, gdyż suma mojej pożyczki na spłatę długów w Zarządzie Miejskim nie może przekroczyć 6-cio miesięcznej pensji. Niezależnie od tego jest mi wiadomo że *cały szereg osób zostało oszukanych* przez tegoż Lipskiego, i dzięki bezkarności, i *zostaje oszukiwanych nadal.* Może zastanowi Sz. Pana dla czego tak długo t.j. prawie rok nie robiłem użytku z tej sprawy, otóż komunikuję, że Lipski zaklinał mnie żeby go nie gubić, gdyż on tylko chwilowo jest w ciężkiej sytuacji, ale tą sprawę sam załatwi, na tę okoliczność mogę przedstawić świadków i dokumenty, obecnie dowiedziawszy się, że nie jestem jedyną jego ofiarą, i że on to w dalszym ciągu praktykuje, uważam za swój obowiązek sprawę tę wyjawić, ażeby zabezpieczyć innych przed podobnemi malwersacjami. Na zakończenie chciałbym na tym miejscu wyrazić *wdzięczność panu za podjęcie słusznej, i dawno pożądanej akcji walki z nieuczciwemi pseudo agentami.*

Załączam wyrazy szacunku

(—) B. Miniszewski

Górczewska 110

Dnia 27/VII. 1936 r.

•

Dla informacji naszych Czytelników podajemy, że na skutek naszych rewelacyj, Lipskiego aresztowano.

Myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że ci wszyscy domorośli „wydawcy” i „redaktorzy“ mają cokolwiek wspólnego z jakąkolwiek ideą. Idzie tu o bardzo prostą grę. Ci wszyscy „narodowcy“, te wszystkie antyżydowskie organy, jedynie i wyłącznie powstają poto, aby wyłudzać ogłoszenia od firm chrześcijańskich, aby firmy te „uszczęśliwiać” przewodnikami po „chrześcijańskiej Warszawie“, słowem aby godnie podtrzymać tradycje łupieskiego gangu

Ignis.

Dyktator sztuki fryzjerskiej

Tem mianem można określić *nowoczesny salon fryzjerski damski i gabinet kosmetyczny „Predrag i S-ka“, Warszawa. Pl. Napoleona 6, tel. 523-39.* Utrzymując kontakt ze światowemi centrami mody fryzjerskiej, mając własne modele, dysponując znakomicie uzdolnionym personelem, a wreszcie obsługując najelegantsze sfery stolicy — *„Predrag i S-ka“* jest w Polsce ośrodkiem mody fryzjerskiej, którego zdanie w tej dziedzinie zasługuje na specjalną uwagę.

Mistrz, *p. Bolesław*, który w *„Predrag i S-ka“* dokazuje cudów sztuki fryzjerskiej, zapytany przez nas na temat współczesnego uczesania kobiecego, ze znajomością rzeczy odpowiedział:

— W modzie jest fryzura nawskroś pomyślana artystycznie i dostosowana do indywidualnych cech pani, do jej typu, aby łącznie z nią stwarzała stylową całość. Panuje tendencja do strzyżenia raczej średniego, tak, by włosy można było układać w wałeczki i loczki, które łącznie składają się na dwojakiego rodzaju kombinacje uczesania: 1) z odkrytem czołem, 2) z zakrytemi skroniami, w rodzaju korony obejmującej głowę...

Co do kolorów to przeważa kolor tycjanowski, ciemny, lub zupełnie czarny...

Tyle p. Bolesław. Ze swej strony musimy dodać że *„Predrag i S-ka“* stosuje w swych zabiegach fryzjerskich i kosmetycznych wszelkie najnowsze zdobycze kunsztu fryzjerskiego, że dysponuje pierwszorzędnym personelem, i że, zdobywając liczne wyróżnienia na pokazach mody, jest prawdziwie reprezentacyjnym zakładem tego rodzaju w Polsce, urządzonym na wzór podobnych zakładów na Zachodzie, zakładem wreszcie, który potrafi zaspokoić najwybredniejsze gusty pań w zakresie fryzury.

(N.)

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

„RĘCE NA STOLE“ (Kino „Rialto“). Zasadniczo komedja, wyświetlana w „Rialto“, jest dość bezsensowna i wręcz nawet niemoralna, skoro jej bohaterką jest dziewczyna, za wszelką cenę polująca na miljonera. Ale reżyser tego filmu (Mitchell Leisen) postarał się tak błyskotliwie przeprowadzić djalog i urozmaicić akcję, aby zrobić z niego naprawdę przemiłą rozrywkę. Należy przyznać, że realizatorowi pomogli wiele aktorzy. Fred Mac Murray jest naprawdę świetny, a i Carole Lombard doskonała. Reszta obsady okryta jest mgłą tajemnicy przez biuro Paramount i nie jest nawet podana na filmie. Nie wiadomo zresztą dlaczego, bo Ralph Bellamy jest niezwykle sympatyczny w roli sparaliżowanego miljonera, a w małej rólce przypomina nam się dawna gwiazda filmu niemiego Mary Prevost.

Reasumując: Filmik bezpretensjonalny, bardzo dobrze wyreżyserowany i świetnie zagrany. Można śmiało obejrzeć i mile spędzić wieczór.

„SZYFR 77“ (Kino „Europa“). „Szyfr 77“ jest bezsprzecznie doskonałym filmem, ale chciałbym spotkać w ciemnym zaułku genjalnego autora tekstów polskich, który z Rosji zrobił jakąś Marszowję (!) i tak przekręcił akcję, że trudno się zorjentować. Mimo jednak usilnych starań, nie zdołano zniweczyć arcydzieła reżysera Williama K. Howarda.

„Szyfr 77“ odsłania nam tajniki amerykańskiego kontr-wywiadu, w czasie wojny światowej walczącego z szpiegostwem na rzecz Niemiec. Scenarjusz obfituje w dziesiątki momentów humorystycznych, które szczęśliwie odprężają nerwy po licznych perypetjach, pełnych napięcia. Film „Szyfr 77“ uczy i bawi zarazem. Wyreżyserowany jest bez zarzutu, aktorzy grają doskonale. A, że rej wodzi niezawodny, czarujący William Powell, więc... Co do roli, granej nader inteligentnie przez Rosalind Russell, scenarzysta musiał chyba zrobić ustępstwo na korzyść komizmu, ze szkodą dla prawdopodobieństwa, bo trudno uwierzyć, aby bratanka wiceministra wojny była tak naiwna. Ale, że djalogi są przez to znakomite, chętnie wybaczamy. Stanowczo warto obejrzeć „Szyfr 77“.

„SYN MARNOTRAWNY“ (Kino „Filharmonja“). Na wstępie małe zapytanie: poco ta cała maskarada z „Universalem w Ameryce“, kiedy dziecko każde wie, że „Syn Marnotrawny“, to film produkcji niemieckiej? Ale mniejsza o to, bo film jest naprawdę dobry i stanowi bardzo szczęśliwy amalgamat prac znanego alpinisty Luisa Trenkera, który był tu producentem, scenarzystą, reżyserem i odtwórcą tytułowej roli. Film jest okraszony pięknemi zdjęciami z Tyrolu i pokazuje nam tęsknotę Tyrolczyka do Ameryki. “Syn Marnotrawny“ nie jest pozbawiony momentów wybitnie dydaktycznych, a, że realizacja jego i gra artystów znajduje się na poziomie zupełnie poprawnym, można śmiało zaryzykować tani bilet.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje afisz, wystawiony przed „Filharmonją“, zredagowany poprawną... chińszczyzną. Warto specjalnie się tam zatrzymać i przeczytać.

„NOWE PRZYGODY TARZANA“ (Kino „Pan“). Co można napisać o takim filmie? Albo ktoś lubi Tarzana, jego nieprawdopodobne, ale dość fotogeniczne przygody, fantazyjną dżunglę i mniej więcej oswojone dzikie zwierzęta, albo też ktoś tego wszystkiego nie lubi i nic go to wszystko nie obchodzi. Z tego też punktu widzenia należy zastanowić się nad tem, czy wybrać się do „Pana“ czy też nie. „Nowe Przygody Tarzana“ nie są ani lepsze, ani może nawet gorsze od poprzednich seryj tego gatunku. Herman Brix jest godnym następcą swoich poprzedników. Realizacja filmu na poziomie przyzwoitym. Dzieci mogą iść bez zastanowienia, dorośli po namyśle nad poprzedniemi zdaniami recenzji.

X. 27. —

P. ANTONIEMU BORMANOWI, KU PAMIĘCI.

Można w maju, można w gaju,
Byle tylko nie w tramwaju.

Tajemnice Głównego Urzędu Miar

Trzy lata temu starszy asystent Politechniki Warszawskiej Inż. Adam Sierzputowski zaproponował Głównemu Urzędowi Miar budowę nowoczesnych laboratorjów pomiaru temperatury. Propozycję tę dyrektor Głównego Urzędu Miar przyjął. Znakomitemu specjaliście dano do rozporządzenia ogromne stosunkowo środki, budowę laboratorjów rozpoczęto z wielkim rozmachem, przebudowano lokale, zaangażowano techników, sprowadzono z zagranicy najnowsze aparaty.

Wkrótce jednak między inżynierem Sierzputowskim a naczelnikiem Wydziału Technicznego G.U.M.

Dr. Kasprowiczem, nastąpił głośny konflikt.

Inżynier Sierzputowski zarzucił, iż na powierzonem mu stanowisku dr. Kasperowicz działa wyraźnie na szkodę wielkiego przemysłu i obrony Państwa. Za dr. Kasperowiczem ujął się Dyr. Gł. Urz. Miar p. Z. Rauszer. Inż. Sierzputowski, któremu nie pozwolono kończyć rozpoczętej budowy laboratorjów, odwołał się do ówczesnego Ministra Przemysłu i Handlu p. Flojar-Rajchmana. Minister powołał specjalną komisję dla zbadania całokształtu wysuwanych przez inż. Sierzputowskiego zarzutów.

W odpowiedzi na opublikowany w I.K.C. artykuł b. premjera prof. Politechniki lwowskiej Bartla, inż. Sierzputowski ogłosił w prasie

szereg niezwykle ostrych artykułów

krytykujących działalność Głównego Urzędu Miar.

Dotknięci treścią artykułów inż. Sierzputowskiego, odpowiedzialni kierownicy resortów G.U.M., przesłali sprostowanie do prasy. Tymczasem jednak Minister Przemysłu i Handlu, po zapoznaniu się z pierwszemi wynikami powołanych do zbadania sprawy komisji,

nakazał wycofać z redakcyj wymienione sprostowanie

urzędników G.U.M. Wówczas Dyr. G.U.M. który w artykułach inż. Sierzputowskiego dopatrzył się osobistego zniesławienia, wystąpił na drogę sądową, pozatem oskarżył w rok później inż. Sierzputowskiego o nadużycie władzy.

Naskutek wniesionej przez dyr. G.U.M. skargi, celem wyświetlenia niejasnej sprawy prokurator zarządził szczegółowe śledztwo. Inż. Sierzputowski złożył udokumentowane zeznania, w których kierowników administracji miar

skarżył o lenistwo, brak kompetencji i chciwość,

dyrektora zaś G.U.M. o niedozór i lekkomyślne traktowanie swoich obowiązków. Pozatem wniósł do prokuratora Sądu Okręgowego oskarżenie, w którem zarzucił dyrektorowi G.U.M., iż ten na swojem stanowisku dopuszczał się nadużyć władzy. A mianowicie do G.U.M. zaangażowano na odpowiedzialne stanowisko kierownika referatu taksometrycznego niejakiego

Wiewiórowskiego, rzekomo b. pułkownika i inżyniera.

Zdaniem inż. Sierzputowskiego tenże Wiewiórowski, notabene szwagier dyrektora G.U.M., nie posiada żadnego wykształcenia, fałszywie się podaje za pułkownika, oraz inżyniera. Co gorsza dyrektor G.U.M. powierzył temuż szwagrowi zaprojektowanie i budowę wielkiego gmachu przeznaczonego specjalnie na laboratorja G.U.M. Nieszczęśliwa ta impreza kosztowała G.U.M. blisko 700.000 zł., w rezultacie *gmach pobudowano zupełnie wadliwie*, narażając Skarb Państwa na kroci owe straty. Budową gmachu zajmował się wyłącznie dyrektor Głównego Urzędu Miar, ze swym szwagrem.

Łączka kretynów

Wykwintny dziennik stołeczny „5 Rano“ w nr. z dn. 31 lipca r. b., drukując kolejny odcinek powieści M. Kipnisa p.t. „Duchy w bóżnicy“, publikuje taki oto fragmencik:

„— Wzywam cię Josełe, synu Sury-Łaji, abyś wyszedł ze ściany i przestał drapać! Twoja narzeczona Marjem (Tak się nazywała wdowa, która mieszkała w tym domku) poniosła już karę za zerwanie z tobą małżeństwa, albowiem została wdową. Wyjdź ze ściany, rozkazuję ci!

Wówczas zatrząsł się cały dom, zabrzęczały szyby w oknach, ze ściany spadła belka. Zerwał się wicher, zakręcił się, zakotłował, zdarł rabinowi kołpak z głowy, a w tym wichrze znikł „drapacz“ wraz z rabinowym kołpakiem na zawsze.“

Okazuje się z powyższego, że syn Sury-Łaji — Josełe nie był taki znów „myszygine“ jakby się zdawało. Nie ograniczając się bowiem do drapania, rąbnął niewątpliwie lisi kołpak rabina, co już jest wcale niezgorszym interesem. A fajne kepełe du bist, Josełe.

*

„Mały Dziennik“ z Niepokalanowa pisze w rubryce: „Czy wiecie, że...“:

„Mucha spędziwszy w mieszkaniu 5 miesięcy zimowych może dać życie 720 miljonom potomkom“.

Wcale ładne potomstwo. Tylko czy aby napewno 720 miljonów?

*

W t. zw. drobnych ogłoszeniach Dziennika Poznańskiego z dn. 31 lipca r. b. czytamy:

„Miły pobyt zapewnia Kawiarnia Abisynja Grunwaldzka 11, tanie smaczne potrawy“.

Druh posiedziciel zaś ale jest przesadny. Abisynja, Grunwald... i to ma być miły pobyt? Dziękujemy, nie reflektujemy.

*

Inne ogłoszenie, tym razem w Dzienniku Bydgoskim, również z dn. 31 lipca r. b.:

„Rzemieślnik zapozna kobietę do 35 lat, cel towarzyski. Oferty do Dziennika pod „Tęga“.

„Cele towarzyskie“ z tęgiemi kobietami, zwłaszcza w okresie letnich upałów, nie należą, naszem zdaniem, do najprzyjemniejszych zajęć, Rzemiosło jednak jest perwersyjne i niby kot Kiplinga, chodzi własnemi drogami...

*

Il. Kurjer Codzienny z dn. 2 sierpnia 1936 w rubryce drobnych ogłoszeń przynosi taką zagadkę:

„Płock. Było. Wzięli. Dwa dni. Najrozmaitsze. Obecnie spokój. Wojtmirek zdrowi. — Siedzą na wsi“.

Wiadomo, że jak „było“ to „wzięli“. Większa sztuka byłaby, gdyby nie było, a mimo to wzięli. A wogóle jest to napewno zakonspirowany sygnał marjawitów. Może to jedna z mateczek komunikuje swemu szwagrowi w Warszawie, o tem, że jej małżonka „biskupa“ Kowalskiego zabrali do... Wronek.

*

Autor pasjonującej powieści z życia wytwornego, druk. p. t. „Karjerowicz“ w Gońcu Warszawskim, p. E. M. Szermentowski w odcinku 58 tej powieści pisze:

„Małe zwierzątko — myśli o niej — małe zwierzątko w zatrzasku“.

Nagół zwierzątkom, chociażby najmniejszym nie jest do twarzy w... zatrzaskach. Chyba, że autor myślał o zatrzasku „Yale“, albo takim od sukni damskiej.

Stary pies.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 1-ej do 13-ej
Konto w P. K. O. Nr. 15,581

Redaktor i wydawca: **Włodzimierz Popławski.**

Druk. „Kolumna“ Warszawa, Nowy Świat 39